



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50, na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.  
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabiń Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Z życia realisty, Obrazek przez Elizę Orzeszkową. (Dalszy ciąg). — Kartki z pamiętników wygnance. — Karolina Brontë (Currel bell). Ję życie i pisma (Dalszy ciąg). — W pałacu i w chatce powieść Berthold'a Auerbach'a, przełożona z niemieckiego przez J. Belejowską (dalszy ciąg). — O ubiorach.

## Z ŻYCIA REALISTY

OBRAZEK

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Mimo jednak szacunku i życzliwości, rzadko bywałem w domu państwa L., i nigdy nikogo z obcych tam nie spotykałem. Stosunków towarzyskich mieli oni bardzo mało, bo też na Ukrainie, wiele ich mieć nie można. Rozległe grunta wielkich dóbr, dwory ich właścicieli bardzo znaczną częścią odległością, a średnich posiadłości nieznaleźć tam prawie. Wielki pan, albo skromny posiadacz futoru, to dwie ostateczności otoczone jak wyspy morzem, nieścigłymi okiem stepami, po których mrowi się najlichniesza klasa ludzi — chłopci.

Dwór najbliższy od Hor położony, należał do księstwa X. Bywali oni w Horach niekiedy, ale rzadko, bo księżna światowa i strojna dama, wysmiewała hożą i prostą panią L., a o księciu opowiadano, że ile razy dwoma delikatnymi jak u kobiety palcami, dotykał ogorzałej dłoni pana L., tyle razy drugą ręką chwycił się za głowę, sądząc że spada z niej mirta książęca; zresztą, antypatycznie nie lubił on eks-Bałaugów, bo jak niosło podanie, za arystokratyczne swoje wybryki, otrzymał od nich ongi niemłą naukę.

Tak więc, byłem zupełnie samotny, odgradzony od świata, do którego był przywykły, ciszą ogromnych przestrzeni otaczających nieustanny huk fabryczny.

Jedynym urozmaicheniem w monotoni moich dni i zajęć, był stosunek mój z robotnikami pracującymi w fabryce. Lubili mnie niezmiernie, chociaż byłem względem nich surowy i energiczny, ale w postępowaniu moim, widzieli sprawiedliwość, a w obejściu się szczerą życzliwość dla ludu. Każdego z nich znałem po imieniu, — mieszkania i wszystkie warunki życia, urządziłem im jak mogłem najlepiej, zapropomowałem panu L. założenie dla nich niedzielnej i wieczornej szkoły. Wdzięczni mi byli za to, a ja im więcej wglądałem w ich potrzeby i życie, tem ścisłej wnikałem w rzewną i głęboką poezję ukraińskiego ludu, — tem bardziej pragnąłem dla niego oświaty, któraby rozwinęła i spotęgowała dziwnie bogatą jego naturę. Długie chwile niekiedy przy-

patrywałem się pracującym przy maszynach kobietom. Ciemne ich twarze, charakterystyczne ubrania, błyszczące oczy, malowniczo rysowały się wśród półcieniu wielkich sal fabrycznych; szczebiot ich i śpiewy przy pracy nawet nieustające, głuszyły czasem turkot kół przędzalni.

Gdy o zmroku, zmęczony całodziennym trudem i gotując się do wieczornego zajęcia odpoczywałem szerokimi krokami chodząc po mieszkaniu mojem, z innych części zabudowań fabrycznych dochodził mnie odgłos rozmów i śmiechów, opuszczającego pracę tłum. Niekiedy po nad gwar ten uniosła się tęskna jaka piosenka, kobiecym śpiewana głosem, lecz prędko stłumiona wysokimi murami, konała jak ptak który się tłucze o ściany swęj klatki.

W owych chwilach zmroku i odpoczynku, czułem w piersi coś jakby tęsknotę — jakby próżnię — niewyraźną — nieokreśloną. Czasem głowa mi pałała, choć nie wiedziałem dla czego, bom zdrów był fizycznie: czasem duszno mi było w pokoju, otwierałem furtkę do ogrodu, i z niewypowiedzianem uczuciem cichego smutku, słuchałem muzyki wichrów szalejących po rozłogu. Najczęściej otrząsałem się z tego niewytłomaczonego mnie samemu nastroju, zapalałem lampę i pogrążałem się w czytaniu, ale czasem kazałem podawać sobie wierzchowca, i jechałem, gmach fabryczny daleko zostawiając za sobą. Parę razy wjechałem do wsi leżącej za pagórkami, i mijając białe chaty wieśniaków, widziałem ich wnętrza przez okna, oświetlone płomieniem buchającym w chacie z komina lub piecowiska.

W koło płomienia tego, siadywały przy prąśnicach lub kołowrotkach wesołe prądkie, czerwoną blask ognia, oświecał ich śmiejące rumiane twarze, nieco dalej na ławach pod ścianą, młodzi parobcy pletli kosze z kory, albo maty ze słomy, najbliższy ogniska gospodyni warzyła wieczrę, albo jaki białowłosy starzec odpoczywał po dziennęj robocie. Chóralne śpiewy, albo głośnie śmiechy dochodziły uszu moich, głusząc naszczekiwanie psów wyglądających z za płotów, czasem wnętrze jakiej chaty, ciche było mimo liczne gromy prądek i parobków, — ktoś jeden z towarzystwa — najstarszy zapewne prawil znać bajki, a wszyscy słuchali w milczeniu. Straszne to bajki, które tam na Ukrainie prawi lud po chatach swoich; — są w nich upiory i księżniczki zaklęte, russalki co ludzi zwodzą i mordują, i Tartarzy ciągnący w jasyr dziewczęta. Myślę że nie raz — gdy w chwili moich wieczornych po wsi przejazdach, która z tych bajek dochodziła do najwyższej potęgi swęj grozy, — na odgłos kopyt mego konia rozlegający się za oknem, niejedna młodyca

trwożliwie obejrzała się po za siebie, i półkryta prąśnicą przeżegnała się pobożnie, myśląc że może to upiór lub tatar wieś nocną porą nawiedza.

Te ogrzane i oświetlone płomiennem ogniskiem, pełne wesołych twarzy wnętrza chat wiejskich, wywierały na mnie wpływ dziwnie pociągający. Nie raz czułem chęć zsiąść z konia i wejść do jednej z tych niskich zagród, ożywionych brzęczeniem wrzecion i gwarem różnych głosów ludzkich, alem nigdy chęci tej mojej nie spełnił.

Wiedziałem że wiekowy przesąd i długa niesprawiedliwość, głęboki przedział położyła między mną i ludźmi tymi, — wiedziałem że sereu mojemu, okrytemu czarnym surdudem, nie zaufają oni, że wejściem mojem pod dach ich, stłumię ich swobodę, przerwę radość, wniosę z sobą niedowierzanie i przymus. A i sam, czy potrafiłbym przemówić do nich zrozumiałym im językiem, językiem prostoty? czy mógłbym zbratać się z nimi słowem, myślą, uczuciem? Dziecię cywilizacji, nauki i ogłady, nie umiałbym zapewne zdjąć z siebie błyszczącej, odstraszaającej lud postaci i przybrać taką, któraby w nich ufnosć i miłość dla mnie wzbudziła. A jednak sercem całym oddany im byłem — tym ludziom pod których strzechę nie śmiałem wstąpić, choć z pod niej uśmiechało się do mnie ciepło domowego ogniska, swobodnego wesela, i tęsknych piosenek.

Powoli wracałem z tych wycieczek moich do fabryki, — smutny niewiedząc dla czego, — i samego siebie za smutek ten łajac wewnętrznie. Uczucie to zniknęło gdy tylko brał do pracy, ale w chwilach odpoczynku, wracało niepostrzeżone i nieodegnalne.

Brakowałoż czego w spokojnem, pracowitem, tak zapełnionem na pozór mojem istnieniu! Czy może długo tłumione instynkta młodzieńczego serca, zaczęły w piersi mojej poruszać struny, które w każdym człowieku, prędzej czy później pieśń swoje odśpiewać muszą?

Jam te chwilowe, jak je nazywałem — kaprysy moje — przypisywał zbyt niemu osamotnieniu, i za lekarstwo podwoilem dozę pracy codziennęj. Darownie! przychoiliły zawsze chwile zmęczenia i odpoczynku, a z nimi wracały dziwne dumania i niewytłomaczona bo bezcelna tęsknota.

Nadszedł Marzec zwiastujący wiosnę. Śnieg, który w owym roku niezwykle długo zalegał ukraińskie równiny, tając zaczynał, w górze coraz częściej zjawiały się gorące barwy, jakimi w pięknych porach roku stroić się lubi południowe niebo.

Pewnego dnia, wróciłem około zachodu słońca z całodziennęj wycieczki, jaką w interesie fabryki od-



byłem, zmęczony fatalną w tej porze roku drogą, umartwiony doznanem niepowodzeniem. Obszedłem kilka sal w fabryce, pomówiłem z pod-dyrektorem o bieżących interesach zakładu, i wszedłszy do swego mieszkania, stanąłem u jednego z okien wychodzących na ogród. Szeroki rozłóg biały był jeszcze, choć plamiły go już gdzieś szare płyty uwolnionej z pod śniegu ziemi, za wzgórzem i wioską niebo pałało krwawą barwą zachodu, która dosięgnawszy pewnego punktu horyzontu, zmieniała się w ciemny fiolet, i kameleonową grą, przebiegłszy wszystkie jego spady, spływała w błądo błękitne, bezchmurne sklepienie. Stałem u okna długo, patrząc, to na rozłóg pusty i cichy, to na bogate królewską purpurą obłoki, nie myśląc o niczem, machinalnie tylko czując piękność widoku jaki był przedemną. Fizycznie zmęczony, i moralną inicjatywę utraciłem na chwilę.

Nagle mignęło coś u szczytu pagórka, i po chwili wyraźnie ukazała się na nim wyniosła postać sadzącego konno pana L. Osadził konia, zdawał się oczekiwać czegoś — i wnet, z za wzgórza wyjechała na koniu żona jego.

Odległość była niewielka, widziałem więc ich wybornie. Dwie postacie smukłe i silne, jakby zroszone z ciemno gniadymi końmi, rysowały się na tle ognistych obłoków. Jeździec miał na sobie burkę ukraińską, lśniąca zdala kraśnem wyszcieniem, i wysoką o długowłosem futrze czapkę; amazonka okryła się od chłodu szubką z czarnego aksamitu, szeroko oszytą sobolami, i także czapeczka całkiem zakrywała jej czoło. Stanęli na wzgórzu, on przodem konia zwrócony do mego okna — ona bokiem. Znać patrzyli na coś w oddali, bo amazonka wyciągnęła rękę uzbrooną szpicrutą, ukazując jakiś daleki przedmiot.

W tej samej chwili niebo jeszcze ognistszą niż wprzód zagorzało barwą; z za ciemnego pasa fioleto, wypłynęły ostatnie promienie zachodzącego słońca, i ukośnie krwawą luną oświeciły stojącą na wzgórzu parę. Na tle tej świetnej iluminacji z całą siłą zarysów stała postać ukraińskiego pana, i pod lśnąciami złotem sobolami, zaróżowił klasyczny profil twarzy jego żony. Oboje stali przez chwilę nieporuszeni, on z dłonią złożoną na grzywie konia, który niecierpliwie śnieg grzebał kopytem — ona z wyciągniętą ręką, z postacią w tył nieco rzuconą.

Piękny to był i oryginalny obraz, ocucił on obumarłą przed chwilą myśl moją, — stałem wciąż u okna i patrzyłem. Zwolna gasły gorące promienie, i na obłoki wróciła znowu barwa fioleto, spośpioną nadchodzącym zmrokiem.

Piękna para zjechała ze wzgórza, i znalazłszy się na równinie, pełnym biegiem koni, puściła się po rozłogu. Pędzili w stronę zamku z niezmierną szybkością; mężczyzna o pół konia tylko prześcigał kobietę, a jechali tak blisko siebie, że konie z pewnej odległości widziane, zlewały się w jedną całość, i cała grupa przypominała legendy o rycerzach unoszących na dzielnych rumakach kochanki.

Ściagałem ich wzrokiem, dopóki nie zniknęli za bocznym murem fabryki, a po głowie snuły mi się jakieś stare ballady, podania, z dzieciństwa zapamiętane lub zasłyszane wypadkiem; dziwy jakieś zaczęły się dziać w mojej myśli, a mrok tymczasem zapadał coraz głębszy. Machinalnie usiadłem przy oknie, oparłem czoło na obu dłoniach i pogrążyłem się w półśennem jakimś dumaniu.

Nagle — pod oknem — z ogrodu płynący ozwał się donośny, czysty śpiew kobiecy. Przeciagle tony podnosiły się do ziemi i dochodziły mi stłumione nieco przestrzenia, drżące niewymowną pełnią uczucia. Niepodnosząc głowy zacząłem słuchać; niewiedziałem kto śpiewał, byłem pewny że głos tego nigdy nie słyszałem — że nie był to śpiew żadnej z pracujących dotąd w fabryce robotnic.

Słowa pieśni nie dochodziły do mnie, ale w samych jej tonach było rzewnego smutku, a chwilami tyle namietności i mocy, iż znać płynęły one z młodej piersi co się zapoznała z boleścią, ale siłą żywotnych pełni, pragnęła gorących ziemskich radości. Piosenka była prosta, ludowa, jak wszystkie ukraińskie, piękna, ale w głosie brzmiały całe światy uczuć. Słuchałem głosu tego — piłem go pełną piersią, kołysałem gorącą moją głowę nieokreślonym, nieznanym dotąd marzeniem.

Niewiem jak długo nieznana śpiewaczka zawodziła pieśń swą w ogrodzie, niewiem jak długo ją słuchałem, ale gdy nareszcie ostatnie nuty śpiewu roz-

płynęły się w powietrzu i skonały przeciąglem echem, zerwałem się z krzesła, otworzyłem furtkę u okna i wyrzuciłem na zewnątrz. Lecz daremnie przez chwilę kilka, wpatrywałem się z wyteżeniem w zmrok gęsty; ogród był pusty zupełnie, drzewa tylko lekko szumiły i nad nimi błyszczało kilka gwiazd dużych. Zresztą — cisza i pustka!

Chłodne powietrze wieczoru owiało mi głowę i otrzeźwiło mnie; zamknąłem furtkę i zaśmiałem się z samego siebie. Bo i cóż było nadzwyczajnego; myślałem, że wieśniaczka jakąś pięknym głosem obdarzona, zaśpiewała w ogrodzie? Mogła to być siostra lub krewna którejś z robotnic, przybyła w odwiedziny do fabryki! Wybrałem z pomiędzy książek jakąś najbardziej suchą, najbardziej przejętą twarzą materjalistycznymi pojęciami i zagłębiłem się w jej czytanie.

Po północy gdy się na spoczynek udawałem, brzmiały mi jeszcze w uszach tony słyszanej o zmroku pieśni — a przez całą noc śniłem, żeśm śród ognistych promieni zachodzącego słońca, pędził konno po równinie; obok siebie widziałem kobietę jakąś nieznaną, której rysów nawet dostrzedz nie mogłem, ale która jadąc czy jakby lecąc koło mnie, wciąż śpiewała — śpiewała.

Nazajutrz obudziłem się późno, i przy wspomnieniu o wrażeniach wieczornych i snach nowych, śmiałem się z samego siebie.

— Byłbym dość słaby i niedorzeczny, aby móżdżek puścić wodze fantazji i stać się śmiesznym marzycielem? myślałem, a jasne promienie pogodnego ranku, wlewały w umysł mój zwykłą rzeźwość i czynność.

Cały dzień byłem pilnie zajęty w moim mieszkaniu. Musiałem napisać kilka listów do zakładów handlowych w Kijowie i Odessie, przyjąc parę wizyt przybyłych w celu obstalunków, zajrzeć do jednej z książek dla upewnienia się o szczegółach jakiejś chemicznej czynności, którą rozpocząć zamierzałem przy farbowaniu sukna — słowem, tak byłem pogrążony w pracy, że zaledwie około zachodu słońca wyszedłem aby spojrzeć co się dzieje przy maszynach. Obszedłem kilka sal, zadowolony, bo wszystko było w porządku, i właśnie zbliżałem się do przedziału przy której pracowały kobiety, gdy o słuch mój obił się krzyk przenikliwy, po którym nastąpiło kilka stłumionych jęków.

Przyspieszyłem kroku, i wszedłszy do sali w której krzyk się rozległ, spytałem jedną z robotnic co było jego powodem?

— Cegła spadła Maryjce na głowę i skaleczyła mocno biedaczkę, odrzekła kobieta wskazując uszkodzony sufit.

— A gdzie jest Maryjka? spytałem.

Robotnica wskazała mi przyległą izbę, będącą mieszkaniem kilku kobiet należących do fabryki. Wszedłem tam, i zobaczyłem siedzącą na stole pod oknem młodą dziewczynę, całą twarz ukrytą w białych fartuchach, płacząc rzewnie i głośno, a między ciemnymi jej włosami spływała wązka, czerwona struga krwi. Kilka towarzyszek stało koło niej z przerażeniami twarzami, gwarzyły one głośno, głowami kiwały, ale na danie pomocy nie mogły czy nie umiały się zdobyć. Poszedłem żywo do płaczącej dziewczyny i rzekłem jak umiałem najłagodniej:

— Nie płacz Maryjko, nic ci się nie stanie, poboli trochę to i przejdzie, a teraz trzeba tylko głowę ci owiązać i położyć spokojnie, póki felczer nie przyjdzie!

Mówiąc to wydobyłem chustkę z kieszeni i miałem już spełniać funkcję chirurga, gdy za mną rozległ się głos kobiecy!

— Maryjko! gołąbko ty moja! co tobie się stało, serce? oj biedna ty biedna! a mnie tam przy tobie nie było!

Głos mówiący był dzwiczny, miękki, drżący niepokojem i serdecznym współczuciem. Raz tylko potrzebowałem go usłyszeć, aby poznać że był to ten sam głos, który wczoraj o zmroku śpiewał pod oknem moim — w ogrodzie.

Obejrzałem się. Kobiety które wprzód otaczały Maryjkę przy wejściu moim usunęły się na stronę, a przedemną stała jedna tylko młoda dziewczyna wiejska z załamanymi rękami. Nigdy jej dotąd w fabryce nie widział, i sam niewiedząc czemu, może w skutek zajęcia wzbudzonego we mnie jej pięknym głosem, uważnie choć szybko orzuciłem ją wzrokiem. Wyglądała na lat 20, szczupła była i nie wysoka, twarz miała o ściągłych, regularnych rysach, i ciemne, duże ale trochę zagłębione oczy.

Uderzyła mnie w nią, niezwykła u wiejskich kobiet przezroczysta, delikatna błądź, usta jej nawet nie były pasowe, ale tylko błądo zaróżowane a czoło gładkie i foremnie wykrojone, bledszem się jeszcze wydawało niż twarz cała od cienia czarnych jak krucze pióra włosów, i również czarnych, w energiczny łuk zarysowanych brwi. Nie zwracając wcale uwagi na wzrok mój przywiązany do jej twarzy, z czułością otoczyła ramieniem szyję płaczącą towarzyski, głowę jej oparła na swą piersi i powtarzała z cicha:

— Nie płacz, nie płacz, gołąbko Maryjko!

Po krótkiej chwili przypomniałem sobie, po czym stałem, i postawiłem jedną z kobiet po miejscowego felczera, brałem się do owiązania chustką ramienia, z której ciągle krew się sączyła.

— Pozwólcie panie, już ja to sama zrobię! rzekła błąda dziewczyna łagodnie, ale śmiało, i po raz pierwszy podniosła na mnie spojrzenie.

Śmieję się ze mnie, o wszyscy ludzie zdrowego rozsądku i zimnej krwi, ale ja poznałem w owej chwili że serce uderzyło mi silniej niż zwykle, i doprawdy nie zaręczam, czy uważne oko nie dojrzałoby na twarzy mojej rumieńca. Nigdy też nie przypuszczałem, aby w spojrzeniu wiejskiej nieoświeconej dziewczyny, w spojrzeniu mimochodem rzuconem, mogło być tyle wyrazu — tyle głębi.

W tych zapadłych nieco, półosłoniętych długimi rzęsami oczach, po za cichym smutkiem, wyraźnie gorzał ogień nieznający jeszcze siebie, ale który przepowiadał, że za łada iskrą, strzeli na zewnątrz płomieniem namietności.

(d. c. n.)

## KARTKI Z PAMIĘTNIKÓW WYGNANCA

Z FRANCUSKIEGO.

(Dalszy ciąg)

### XIII.

Przybywszy do ostatniej stacji, zastałem tam p. Leslie i miss Różę, którzy wyjechali naprzeciwko mnie, a Wilby przyprowadził mi *ponychair*, abymy mogli razem wracać do Lynmore. Miss Róża była wesoła jak skowronek, a to jej usposobienie oddziaływało bardzo na poważnego narzeczonego, który teraz nadzwyczaj był jakoś ożywiony. Patrzę na nich, widząc wzajemne ich przywiązanie, tak szczerze, tak serdeczne, tak młode, mimowolnie odzywało się w mem sercu jakieś uczucie zazdrości.

Dzień ich ślubu nie był jeszcze oznaczony, ponieważ Leslie pragnął pierwój odnowić i urządzić planie na przyjęcie ukożanej żony.

W Anglii, często bardzo się zdarza, że kilka miesięcy upływa między zaręczynami a ślubem; przez ten czas narzeczeni używają największej swobody, nieustannie przebywają z sobą, przez co mają sposobność poznać się dobrze, zanim dożgonne śluby na zawsze połączą ich losy. Wychodzą i wyjeżdżają sami, robią sprawunki, urządzają przyszłe swoje gospodarstwo, i chwile te liczą się pewnie do najprzyjemniejszych w ich życiu. Ale z drugiej strony, opinia publiczna potępia surowo męczyznie zrywające podobne zobowiązania. Angliacy, tak okrzyknięci ze swą handlarskiej interesowności, jednak pod względem zawierania związków małżeńskich, więcej od innych narodów szanują przynajmniej pozory, i ani rodzice, ani żadna ze stron, nie ważyliby się przyznać do wyraźnego wyrachowania, pod korą powszechną nagany. Nie przeczą, że jak wszędzie tak i tu, są rodzice i młodzież którzy w małżeństwie upatrują tylko środek zyskania stanowiska lub majątku, ale brak im owej bezcelności która jawnie przyznawać się do tego pozwala.

W Anglii córki nigdy prawie nie mają posagu; bo co się tyczy małej części przypadającej im z majątku ojczyzszego, ta zapewniona jest ich dzieciom i tylko mają na niej dożywocie. Jeśli młody człowiek zakocha się, a jego położenie majątkowe nie pozwala mu zapewnić swę ulubionę odpowiedniego utrzymania, musi albo gwałt zadać sercu i stłumić miotające nim uczucie, lub czekać nieraz i lata, dopóki pracą własną nie wytworzy sobie stanowiska.

Miss Róża i Leslie nie potrzebowali walczyć z podobnymi przeszkodami. Leslie ani chciał słuchać



o jakimkolwiek posagu, mówiąc że ma dostateczny majątek na utrzymanie żony. Państwo Mason nie znali dotąd wysokości majątku przyszłego zięcia, jednak o ile sądził, p. Leslie posiadał około 20,000 fr. rocznego dochodu.

Tego jeszcze wieczora nadeszły książki przeznaczone dla biblioteki, więc zaraz nazajutrz rano udałem się do Lodge, aby się przekonać czy wybór podobał się miss Mary.

Po przywitaniu pani Masson powiedziała mi:

— Mary jest w gabinecie, zajęta rozpakowywaniem książek, i niecierpliwie pragnie serdecznie panu podziękować.

Wszedłszy do gabinetu, zastałem miss Mary przeglądającą książki; postrzegłszy mnie pobięła ku mnie z twarzą ożywioną radością, i podając mi obie ręce, zawołała:

— Nie umiem wyrazić jak szczęśliwą jestem w tej chwili, a szczęście to panu zawdzięczam. Dotąd, nie śmiałam wierzyć aby życzenie moje utworzenia wiejskiej biblioteki kiedykolwiek urzeczywistnić się mogło — pan ziścił je jakby za dotknięciem czarodziejskiej łaski. O dzięki ci, dzięki! I zamieniona lekko uściskała dłoń moją.

Pragnąłem wyznać jej jak była mi drogą, jak pragnąłem jej szczęścia, jak gotówbym największe ponieść ofiary, byle jej choć najmniejszy sprawić przyjemność, byle choć przelotny uśmiech wywołać na jej usta; — ale zbrakło mi głosu, wyznanie miłości zamarło na ustach, bo Mary powróciła do swoich książek i wydała mi się niemi wyłącznie zajęta, a na twarzy jej jaśniał wyraz niewysłowionej godności i anielskiego spokoju.

— Nie kocha mnie! — pomyślałem z rozpaczą; na cóż mam zakłócać jej spokój bezużytecznem wyznaniem! Ona pragnie tylko mojej przyjaźni... i milczałem.

W tej chwili weszła miss Róża z Alicją, przynosząc szare płótno do oprawy książek. Było przeszło 300 tomów; na każdym miała być przypięta kartka z nadpisem: *Lynmore library* i odpowiedni katalogowi numer. Było dość roboty; — ja zaofiarowałem się poukładać książki podług treści i ułożyć katalog, który miał zarazem obejmować warunki i zastrzeżenia zreagowane przez p. Norris.

Oto ich treść:

Każdy abonent będzie opłacać z góry 1 szyling kwartalnie, i złożyć na zakład sześć pensów. Wolno mu będzie wziąć książkę do domu i zatrzymać ją dni piętnaście, — gdyby chciał zatrzymać dłużej, powinien powtórnie zapisać się na liście. Książki powinny być szanowane.

Pewien właściciel sklepu popieru i zabawek dziecięcych, na prośbę miss Mary podjął się obowiązku bibliotekarza, i zgodził się na to aby urządzić pułki w jego parlatorium, do którego abonenci cały dzień mają mieć wolny przystęp. Za tę usługę miał pobierać stale 1 funt ster: rocznie, 3 szellingi rabatu od każdego 20 szelli: wpływających za abonament, i 2 funty rocznie jako wynagrodzenie za użyczenie lokalu.

Pan Norris doradzał miss Mary, aby urządzić odczyt za małą opłatą wejścia i zaprosić na niego całą wieś; dochód z niego miał pokryć wydatki urządzenia pótek, oprawy książek i druku katalogów. Gdy tylko miss Róża wspomniła o tem hrabinie, ofiarowała na ten cel piękny przedmiot swego pałacu. Porozlepiano afisze, zawiadamiające, że w dniu 15 października czcigodny pastor Norris, będzie miał odczyt o astronomii w Lynmore-Park, pod przewodnictwem p. Mason.

Cena biletu była naznaczona: na pierwsze miejsca jeden szyling, na inne sześć pensów. Abonenci płacą połowę.

Przeszło dwieście osób stawili się na wezwanie, a to zebranie wieśniaków przychodzących kosztować rozkoszy umysłowych, prawdziwie zajmujący przedstawiło widok. Któż może przewidzieć, pomyślałem, jakie przekształcenie nastąpić może w tych ludzkich; skutkiem tego wtajemniczenia ich w prace umysłowe, a wszystko to dzięki wytrwałym staraniom młodej dziewczyny, tak odważnej i niemal zuchwalej ilekroć chodzi o dokonanie filantropijnego dzieła?.. O! jakże to wiele dokazać może każda osoba dobrej woli i szlachetnego serca, wierząca w wielość duszy ludzkiej, nawet w najniższych szczeblach społeczeństwa.

Z początku gdy miss Mary objawiła swą myśl utworzenia wiejskiej biblioteki, wszyscy zaczęli po-

wstawać na jej niepraktyczność, a cóż dopiero gdy porozumiewszy się z p. Norris, umyślili ogłosić o mającym się odbyć odczycie.

— Co ci się zdaje, mówiono, wszystko to tam się tylko udać może gdzie oświata jest już rozwinięta — tu na śmiech się tylko wystawisz.

Wszystkie jednak przepowiednie okazały się najzupełniej mylne; — zaraz w kilka dni po otwarciu biblioteki, znaleźli się liczni dość czytelnicy, a w dzień zapowiedzianego odczytu, wielki przedsiownik pałacu zaledwie zdołał pomieścić słuchaczy. Bo widać nie ci są prawdziwie mądrzy i rozsądni, których myśli nie unoszą się nigdy po nad poziom potrzeb materialnych, ale ci których wielkie serca wierzą w szlachetność duszy ludzkiej, i którzy mimo swego odosobnienia, mają odwagę działać zgodnie ze swą wiarą i przekonaniem. I czyż nie raz nie zdarza nam się widzieć, jak całe tłumy przyjmują pomysły, które pierw uznają za niepraktyczne, i ślepo dążą śladem tego którego okrzykiwały za marzyciela?

Odczytu wysłuchano z największym zajęciem, i ze szkoda karczem i szynków, a liczba abonentów wzrosła z dniem każdym. Kiedy winszowano miss Mary, że pomysł jej tak prędko wcielił się w życie, odrzekła: O teraz znów nie będę mieć spokoju, dopóki nie będę mogła zaambonować kilku gazet i pism periodycznych, aby czytelnicy moi mogli zapoznać się z bieżącymi kwestjami politycznymi i ruchem pismnictwa. Miss Mary należała do tych co uważali iż nie jest zrobionem, dopóki coś do zrobienia pozostaje.

(d. c. n.)

## KAROLINA BRONTĚ

(CURREL BELL).

### Jej życie i pisma.

(Dalszy ciąg)

#### III.

Wtedy już, to jest w piętnastym roku życia, Karolina fizycznie i moralnie była taką, jaką przez całe życie pozostać miała. Choć niepiękna (o ile sądzić możemy z portretu, nadzwyczajnem, wedle miss Gaskell, odznaczającego się podobieństwem) choć rysy jej twarzy, wzięte pojedynczo są pospolite, fizjonomia zdradza wyższość umysłową i niezwykłą siłę ducha. Oczy jej są łagodne, smutne, a jednak, jak twierdzi pani Gaskell, umiały ciskać błyskami gniewu lub pogardy, jak żadne oczy ludzkie. Widać zresztą, „że nigdy nie zaznała nadziei i nie liczyła na przyszłość.“ Samotność, smutek, przynęcały ją ciężkim brzemieniem, i z pod tego brzemienia niepotrafiła się otrząść. Była milczącą, choć rzadko zatapiała się w marzeniach; lubiła samotność, raczej z przyzwyczajenia, jak z natury lub upodobania. Na pensji nieuniknęła towarzystwa swoich rówieśnic, ale i niestarła się o nie. Od lat najmłodszych zdawała się wierzyć, że tylko umysłowe rozrywki są jej dozwolone, to też jedyną namiętnością Karoliny były książki.

Nieposiadamy portretu Branswella i Emilii, która wszystkie siostry przewyższała urodą. Z opowiadań miss Gaskell, możemy wnioskować że był to umysł najznakomitszy, najwybitniejszy charakter z całej rodziny, tak bogato pod względem moralnym od natury uposażonej. Obojętność i pogarda dla codziennego żywota, charakteryzująca Karolinę, obcą jest duszy Emilii. Oburza się ona przeciw przeznaczeniu, wzdycha do swobody, pragnie znaczenia i sławy, a niekiedy z jej piersi namiętny dobiedzie się okrzyk.

Była nieśmiałą jak jej siostry, ale ta nieśmiałość zakrawała na dzikość, którą zresztą wszystkie jej odznaczały się zycząc. Lubiła długie przechadzki wśród pustych zarośli otaczających Haworth; oddalona od tego ponurego ustronia, wzdychała doń i wiedła z tęsknoty.

Ta dziwna istota, której energia budziła w Karolinie pomimowolny przestach i poszanowanie, wczesnie zgasła.

Talent jej, nie miał czasu się rozwinąć, o ile wskazuje z pozostałych po niej pism wnosić można, przewyższał pod pewnym względem talent Karoliny. W każdym razie jest samorzutniejszy i bardziej sa-

modzielny. W zbiorze poezji wydanym wspólnie przez trzy siostry, wybitnie odznaczają się utwory Ellis-Bell (pseudonim Emilii). Z innej znowu strony, ustępuje ona siostrze i nieumie poddać się obowiązkom swego położenia, a przedewszystkiem siebie ma na celu, niepojmując jak można własne szczęście dla szczęścia drugich poświęcić.

Charakter Patryka Bromwella, ma wiele podobieństwa z charakterem Emilii. Z całej tej nieszczęśliwej rodziny, on miał być najnieszczęśliwszym. Namiętny a dziki podobnie jak siostry, lecz w skutek przywilejów płci swojej swobodniejszy, od najmłodszych odznaczał się śmiałym i przedsiębiorczym charakterem. W ośmnastym roku życia, był to chłopiec wesoły, rozumny i sympatyczny, bożyszczem rodziny, ulubieniec wsi całej: to też zepsuty zawczasem uśmiechając się do niego szczęściem. Opowiemy nieco później jego smutną historję. W epoce o której mowa, Patryk wiele obiecywał, i siostry gotowe były ponieść wszelkiego rodzaju ofiary, ażeby objawiający się w nim niepospolity talent do malarstwa, rozwinąć. Rodzina zamierzała wkrótce wysłać go do akademii królewskiej w Londynie, zawczasu w nim już widząc współzawodnika Correggio'ów i Buonarottich.

Anna różni się od całej rodziny łagodnością i spokojem, a świetne przymioty jej brata i siostr, nieco ją w cieniu stawiają. Biograf familii, skrzętnie gromadzący najdrobniejsze szczegóły do życiorysu Karoliny, Annie zaledwie kilka słów poświęca.

Jakież życie wiodły te istoty pełne zapалу, rwące się do świata i ludzi, jakież pokarm znajdą ich umysły, trawione pragnieniem wiedzy? czem zaspokoją gorące żądze, serc młodzieńczych? Życie w Haworth, w niewielu słowach da się opisać. Dnie upływają jak dwie łzy do siebie podobne.

Trzy siostry codziennie idą na przechadzkę do dzikich zarośli, o ile być może, mijając ludniejsze miejsca wioski. Nieśmiałość ich tak dalece chorobliwie przybrała charakter, że lękają się widoku bliźnich, a spotkanie nawet z osobami znajomymi, przykre na nich robi wrażenie. Swobodniejszymi czują się na plebanji. Spełniwszy obowiązki gospodyń, czytają bez wyboru książki, niebezpieczne niekiedy, jak na przykład pisma na pół szalonych marzycieli religijnych, obcujących z duchami, i żyjących po za granicami rzeczywistości.

Wieczorem szyją do dziewiątej, o tej godzinie ciotka spać się kładzie, siostry porzucają robotę, a dla oszczędności zagasiwszy świecę, chodzą po pokoju oświeconym jedynie dogorywającym ogniem kominka, lub zabłąkanym promieniem księżyca. Jest to godzina rozmowy; niestety! nie tej młodzieńczej gawędki ozłoconej nadzieją i wierzącą w przyszłość, — nasze bohaterki troszczą się o chleb powszedni, zwierają się ze swoich obaw i cierpienia moralnych, układają plany polepszenia losu rodziny.

Serce zużywa się szybko i szybko starzeje, wśród podobnego istnienia, to też Karolina i jej siostry, widocznie tak pod moralnym jak i fizycznym względem, w chorobliwym znajdują się stanie. W dziewiętnastym roku życia, Karolina unika częstego towarzystwa swoich przyjaciółek, żeby się do nikogo zbyt nie przywiązać, i nikogo swym przywiązaniem nie męczyć. To uczucie, wyrażające się u osób które wiele w milczeniu cierpiały, i uważają obojętność i oschłość serca za cnotę, wiele jej boleści w całym życiu przyniosło.

Widziemy jak stara się stłumić na szlachetniejsze popędy, zamknąć się w sobie, stać się zimną i egoistką. Pragnęła stanąć na tym stopniu doskonałości, w którym obowiązek a nie uczucie jest jedynym bodźcem działania. Ten rodzaj życia inną jeszcze w niej wytworzył wadę, zwątpienie i niewiarę we własne siły. W dwudziestym roku pisze, iż dla niej wiosna żywota już przeszła. Nakoniec wśród tych udręceń moralnych, sumienie jej stało się tak drażliwym, że zaczyna wątpić o swoim zbawieniu. Okropny ten stan swojej duszy, w ciągu lat kilku maluje Karolina w chorobliwych listach, z których wszakże wiele ciekawych rzeczy dowiedzieć się możemy. Naprzód przedstawiają nam one dokładny obraz cywilizacji protestanckiej, z jej wszystkimi właściwościami, następnie pozwalają nam poznać aż do głębi biedne serce. W listach tych nieuderzają nas przeciwieństwa moralne, na które się zali Karolina, wpływające z okoliczności wśród których żyła, ale raczej walka natury z religją. Pokusy o których mówi miss Brontë, złe my-



śli o które się oskarża, nie wszystkie widocznie są wymysłem imaginacji, ulegającej rozdrażnionemu protestanckiemu sumieniu, — udręczenia te mają jeszcze inne przyczyny. Najgłośniejszą z nich jest jej namiętna natura, pragnąca zerwać skuwające ją więzy, budząca pożar w całym jestestwie biednej dziewczyny, usiłującej go zgasić, a nie posiadającej do tego dość mocy i środków. Czyż *Joanna Eyre* nie tak samo przemawia?

Jakie mogą być słabości dwudziestoletniej dziewczyny, pełnej życia i religijnie wychowanej? Odpowiedź znajdziemy w zmiankowej powieści.

Głównym zadaniem życia Joanny jak i życia Karoliny, jest walka z naturalnymi skłonnościami; widzieliśmy jak lękała się zbytelnego przywiązania, i z jakim wysileniem starała się przytłumić głos serca. Potrafiła wreszcie tego dokonać.

W nieszczęśliwych okolicznościach swego życia, znalazła dostateczne dowody, że szczęście nie dla niej jest stworzone, i że rezygnacja jest najwyższą cnotą, której zdobycie gotowa była jakąkolwiek bądź ofiarą okupić. Przypatrując się rysom swjej twarzy, powiedziała sobie, że nie powinna myśleć o małżeństwie, i powoli oswoiła się z tą myślą, wmówiła nareszcie w siebie, że natura obdarzając ją pełnem zapałem sercem, a przytem tworząc brzydką i czyniąc nieszczęśliwą, wskazała jej obowiązek jako jedyny cel życia, i temu szlachetnemu przekonaniu do końca wierna pozostała.

Lecz czy wiecie co robiła w tym właśnie samym czasie, kiedy się dręczyła myślą, że dusza jej stanie się pastwą wroga ludzkiego zbawienia? Zastępowała starą Tabby, która złamawszy nogę, nie mogła pełnić swoich obowiązków. Karolina i Emilja zajmowały się kuchnią, tak czynnie, jak gdyby nigdy nie czytały Szekspira i Walter-Scotta. Emilja i ja, píše miss Brontë, do jednej ze swoich przyjaciółek, pracujemy prawie bez chwili spoczynku, ja piórę i utrzymuję porządek w mieszkaniu, Emilja zajmuje się pieczywem i kuchnią.

Jakże dziwnem jest serce ludzkie. Czuje się tutaj szczęśliwą, ścieląc łóżko i zamiatając podłogi, nierównie szczęśliwszą, niż gdyby mi przyszło zdala od rodzinnego ogniska, jeździć powozem, stroić się i bawić!

Kobieta z podobnym charakterem, pomimo braku fizycznej urody, musiała budzić zajęcia, chociaż nie mogła się ogłowi mężczyznom podobać; nie była zdolną rozniecić gwałtownej miłości, lecz posiadając wszystkie przymioty nakazujące poszanowanie, obok niezwyklej umysłowej wyższości, pociągająca chęcią zbadania tajemnic tej zamkniętej w sobie duszy. W 1839 r. pewien dzierżawca, jak się zdaje człowiek surowych obyczajów i poważnego na świat poglądu, a którego szacunek zjednać sobie umiała, oświadczył się o jej rękę. Karolina odmówiła z tych prawie powodów, z jakich *Joanna Eyre* odrzuciła prośbę Saint John Riversa. Wiedziała ona dobrze, że nie pociągał go ku niej, jej rzeczywisty namiętny charakter, który mu się nie mógł podobać, lecz sądził ją owszem, po tej zewnętrznej sztucznej powłoce, którą swoje płomienne pokrywała uczucia. List w którym sama opowiada to zdarzenie, odznacza się nietylko oryginalnością zapatrywania się na rzeczy, ale i dziwnie zdrowym rozsądkiem.

„Miałam dla niego wiele współczucia, czytamy w wspomnionym liście, ponieważ był uprzejmym w obejściu, i chętnie spieszył z pomocą dla potrzebujących bliźnich. Przecież nie miałam i nie mogłam mieć tej siły uczucia, która mi kazała umrzeć dla niego, a jeżeli kiedy pójde za mąż, pragnęłabym właśnie, żeby mój mąż, otoczył się dla mnie promieniami światła, najwyższe w moim sercu budzącymi uwielbienie. Nadto jestem przekonana, iż nieznał mego prawdziwego charakteru. Tak, zadrżał by ze zdziwienia, przypatrzwszy mi się zbliska, poczytałby mnie niezawodnie za dziwaczną i romansową entuzjastkę, niepotrafiłabym w obec mego męża zachować tej powagi, która mu się dziś tak we mnie podoba. Pragnęłabym śmiać się, żartować, i powiedzieć wszystko co mi przejdzie przez głowę, lecz nie sądzicie, żeby mnie to czyniło niezdolną do poświęcenia; gdyby mój mąż był człowiekiem rozumnym, gdyby mnie kochał, cały świat, obok jego najmniejszego życzenia, nie więcej by w moich oczach od powietrza zaważył!”

Te namiętne wyrazy odkrywają prawdziwy charakter Karoliny, zostający w zupełnej harmonii z owymi udręczeniami, których dzieje wyżej opowie-

działa. Niedługo po tem zdarzeniu, młody Irlandczyk zaciekawiony jej oryginalną rozmową, zaczął do niej przemawiać językiem, którego niestosowność poważna Karolina zaraz mu uczuła dała.

Pozwólmę jej samą opowiedzieć tę scenę; charakter miss Brontë pokazuje się tu w całej surowości, choć sama stara się być wesołą i innych do uśmiechu pobudzić.

„Ten ostatni gentleman, jest młodym Irlandczykiem, świeżo wyszłym z dublińskiego uniwersytetu. Widzieliśmy go po raz pierwszy, lecz dzieli on usposobienie współziomków, i dla tego wkrótce był pomiędzy nami jak u siebie. W rozmowie odkrył sam od razu swój charakter, — jest dowcipny, żywy, inteligentny pełen zapału, choć brak mu godności i delikatności angielskiej. W domu, jak wiesz, mówię łatwo, nie jestem tak nieśmiała, i opuszcza mnie tam wstyd fałszywy, dręczący mnie gdzie indziej zawsze i wszędzie, — rozmawiałam zatem z Irlandczykiem, śmiałam się z jego dowcipu, i chociaż wszystkie wady jego charakteru widziałam jak na dłoni, gotowa byłam tłómaczyć, z powodu przyjemności jaką mi sprawiała jego oryginalna rozmowa. Ochłodziłam przecież ku końcowi wieczora, ponieważ uznałam za stosowne zaprawić swoją rozmowę pochlebstwami irlandzkimi, wcale mi do smaku nie przypadającymi. Wreszcie wyjechał i nie było więcej o nim mowy. W kilka dni jednak później odebrałam list, którego adres mnie zmieszał, gdyż był pisany nieznanym mi charakterem. Otworzyłam go, i znalazłam oświadczenie miłosne, i prośbę o rękę w gorących wyrazach przez młodego Irlandczyka nakreślonych.

Spodziewam się, iż się śmiesz z całego serca. Jest to jeden z tych wypadków, który mnie niepowinien był się przytrafić. Nieulega wątpliwości, że przeznaczoną zostałam na starą pannę, mniejsza oto, od dwunastego roku życia, oswoiłam się z tą myślą.”

I w samej rzeczy, Karolina zaczęła się godzić z myślą o małżeństwie wtedy dopiero, kiedy śmierć oswobodziła ją od ciężkiego brzemienia obowiązków, które w tej chwili, całym ciężarem przygniatały jej barki.

#### IV.

Fundusze pana Brontë, były, jak wiemy bardzo ograniczone, i nadeszła chwila, w której jego dzieci powinny były pomyśleć, o zaspokojeniu swoich potrzeb, i wywalczeniu pewnego dla siebie stanowiska. Niebysto to rzeczą łatwą. Długo wierzyli, że potrafią znaleźć zajęcia odpowiednie swoim skłonnościom i upodobaniom, — Patrik zostanie artystą, siostry będą pisać albo rysować. W tym celu Karolina napisała list do Sonthey'a, posyłając kilka prób, i otrzymała odpowiedź przynoszącą zaszczyt temu znamienitemu poecie. W wspomnionym liście, Sonthey uznając widoczne objawy talentu w przesłanych mu próbach, zachęca wszakże Karolinę, ażeby o tyle tylko zajmowała się literaturą, o ile to z obowiązkami jej da się pogodzić. Rada okazała się skuteczną, miss Brontë ostrygła nieco, i długi czas potem niemyślała o literaturze jako o środku zarobkowania. Lecz trzeba było coś przedsięwziąć.

Siostry zamierzały otworzyć szkołę. Niestety! brakowało im do tego nietylko pieniędzy, ale i odpowiedniego wykształcenia. Wiedziały wprawdzie wiele, ale uczyć się same bez wytkniętego planu, żadnego przedmiotu niezgłębiły dokładnie. Niedostawało im nadto siły i zdrowia. Anna wówczas mocno już była cierpiącą, Karolina mało co lepiej miała się od niej, Emilja która przez niejaki czas utrzymywała szkołę w Halifax, po upływie sześciu miesięcy zmuszoną była powrócić do Haworth. Na każdym zatem kroku napotykały się przeszkody, chociaż bohaterki na wszystko były gotowe. Karolina mianowicie, okazywała się niewybredną w wyborze powołania, lecz palce jej nie miały wprawy do szycia lub haftu, a milczące usposobienie, nie przemawiało na jej korzyść. Niechciałabym być ani boną, ani panną służącą, tembardziej damą do towarzystwa, szwaczką lub modystką. Chętniej zostałabym służącą, gdyż niedawno odkryłam w sobie szczególnie talent, do zmiatania pokoi, ścierania kurzu, skania łóżek i t. d.“ W kilka tygodni potem, Anna i Karolina znalazły miejsca guwernantek.

(d. c. n.)

#### Korespondencja z Paryża.

W wieku obecnym, tak zwanym praktycznym, starającym się aby każda nasza czynność stała się kapitałem procentowym, zasobnym płatnikiem przyszłości, zaczynają się podnosić głosy przeciw zmaterializowaniu nawet wychowania publicznego, które gardząc duchem człowieka, zaprzęta się głównie jego spizarnią i workiem.

Francja, powiadają, uczy się ale nie jest uczoną, i w tym razie pierwszeństwa musi ustąpić Niemcom. Pokonana w najgłośniejszej treści swego żywota, wprędce utracić będzie listek po listku z wawrzynu sławy, jakim ukoronowana, pyszniła się przed całym światem aż do znudzenia i przesyty.

Utrata sławy, mówią dalej, to niemoc ducha, to wyczerpywanie wszelkich zasobów moralnych, których chleb i moc owocem, to wysuszenie źródeł niosących Francji bogactwo, to wreszcie rozkład jej, niszczenie, śmierć i zupełny upadek. A obawy to wcale nie przesadzone.

Dziś młodzież nasza, ze smutkiem powtarzając, w świątyniach naukowych, za czem goni upórcozynie, o czem jedynie myśli i o co się głównie stara? Czy sądzicie że idzie jej o naukę dla nauki, o uszlachetnienie duszy, o rozjaśnianie ciemnic świata i ciekawe zajrzenie do tajemnic Bożych? — Wcale nie! — Uczy się, bo wie że nauka karmi i bogaci, daje stanowisko, poważanie, ukłon od dołu, uśmiech z góry, wolne przejście wśród ciżby, a nawet modły i zbawienie duszy. Szanuje naukę, jak ręce co pracują, jak oczy co niemi kierują, jak głowy co myśli, czyli jak warsztat albo maszynę wybierającą materiał broniący od głodu i pragnienia. Dawniej, nowiej, poświęcających się kapłaństwu wiedzy z zamiłowaniem, pędzonych do nauki, gorącą rozsądzającą im piersi, nie brakowało: mieliśmy też wielkich filologów, filozofów, poetów, dramaturgów, historyków, badaczy przyrody, którzy wznosząc się na barkach wielkich przemysłowców, myślą oświeconą blaskiem majestatu Bożego, pisali prawa świata i zaszczytali je bagnetem w gruncie, choćby twardym jak opoka. I Francja była potężną jak myśl co ją ożywiała, przodując narodom we wszystkim, i urabiając człowieka na godnego przedstawiciela jego ziemskiego państwa. Dziś wszystko się zmieniło! Posiadamy najlichnieszy zapas książek i rękopismów, same bowiem biblioteki publiczne francuskie otwarte dla użytku powszechnego, obejmują 6,233,000 tomów, przedstawiają więc cyfrę jaką się nie pochlubi żaden inny naród. Anglia posiada tomów tylko 1,772,000. Włochy 4,150,000 ale prawie samych dzieł starych zajmujących się przeważnie sprawami kościelnymi i religiją: Austria 2,488,000: Prusy 2,040,000: Rosja 852,000: Bawaria 1,268,500: Belgia 540,000. Francja więc najbogatszą jest w zasoby pracy umysłowej: ale to owoc przeszłości. Obecnie do tego olbrzymiego gmachu wiedzy, wkłada tylko malutkie cegiełki z zaspianem okiem i drżącą ręką od pospiechu. To też drogocenne te skarby, opuściły tłumy zalegające niegdyś obszerne gmachy biblioteczne. I błaka się w nich tylko kilku maruderów, niby duchy legendowe po starych ruinach, których ogół leka się jak strasznydeł przejętych wonią pleśni i butwienia. Czyż sądzicie że to utrzyma Francję na piedestale jej wielkości?

Paryż piękny, powiadacie; wrzeszczą wielkim głosem płaczący nad upadkiem nauki we Francji: — ustrojony zalotnie, uśmiecha się obszernymi bulwarami, placami przepełnionymi wonią kwiatów, ożywczym oddechem leśnej przyrody, licznymi wodotryskami, i wspaniałymi budowlami podziwianymi i chwylonemi bez końca. Ale ten przepych zewnętrzny za drogo nas kosztuje, za wiele robią dla ciała, dla oczu, a za mało dla ducha co w nim jeszcze kołaczę się, morzony coraz więcej głodem. Według rachunków pana Ferry, w ostatnich latach piętnastu wydano w tym celu dwa miljardy franków, a prawie czterysta milionów zadłużono się; to zabawka za kosztowna, miliard byłby dostateczny, resztę trzeba było poświęcić dla nauki i zastosowania jej do przemysłu, rolnictwa i wewnętrznych ulepszeń. Coby zaś Paryż stracił na wewnętrznej swjej ozdobie, zy-



skądby na wewnętrznej wartości, i jako serce Francji przez arterje swe żywotne przesyłały całemu narodowi wiedzę, aby ją z nizin podnosiła w górę, i dozwoliła patrzeć na świat, jak olbrzymowi stojącemu na wysokiej górze. Cóż Francja zyskała na tej forsownej piękności swojego serca? Czyż w niej do kłosa zboża przybyło choć jedno ziarno? Czyż spotężniał umysł, handel, czy się wzniosły fabryki a rozszerzyła budowa dróg żelaznych? Grzebiemy się co prawda, ale jakże powolnie, jak leniwo, jak wóz własnym ciężarem przypędzony z góry, co lada chwila pozbawiony siły spadku, ma stanąć nieruchomy, na wielki wstyd kierującego nim woźnicy. Jeżeli chcemy wiedzieć co wróży taka strojność Paryża, przeczytajcie przedmowę pana Kerdaniel'a, do przełożonych przez niego Satyr Juvenalisa, a zagadkę znajdziecie rozwiązana.

O oddaniu się wyłącznie nauce dla samej nauki, nawet mowy być nie może, bo cię wysmiejają, wyszydzą, ogłaszają za warjata, i wytykać będą palcami jak marzyciela, co zajęty niebem, co krok potyka się i bije guzy i sińce, po całym ciebie.

Smutne to, powiadają, ale niestety! najprawdziwsze w świecie, tam zaś gdzie pojęcia takie wszczepią się, gdzie nauka nie będzie celem wyłącznym, ale tylko środkiem do wygodnej podróży w pielgrzymce ziemskiej, to czegoż w przyszłości można się spodziewać? Postęp społeczny rozwija się tylko przy pomocy prawdziwych kapłanów nauki, zdolnych do ofiary a nawet męczeństwa. Wyzyskiwacze nauki, spekulujący na nią jak gracie na giełdzie, uważający naukę tylko jako warsztat chlebobajny, postęp sprawdza na manowce, w których obłąkany ugrzęźnie w bagaie, albo utonie na wieki. A wtenczas co się stanie z taką społecznością?

Do wielkich czynów potrzeba wielkich ludzi, pierwszem ich znaczeniem gotowość do ofiary i poświęcenia. Cóż zaś może być wznioślejszego, jak widok młodzieńca poślubiającego naukę, jak kochankę, małżonkę, nie wahającego się u stóp jej złożyć całą swoją przyszłość, młodzieńcze marzenia, porywy serca i to gorące pragnienie świata, jego uciech i rozkoszy! Takiej właśnie młodzieży brak nam obecnie, w przyszłości też braknie wielkich ludzi i wielkich czynów, owych filarów społecznego gmachu, co mu nadają trwałości granitu i robią zawsze wielkim, wspinałym i szanowanym.

Oto są głosy niezadowolonych, ale przeciwnicy zasadniej odpowiadają, i czasem tak potężnym uderzą argumentem, że zda ci się słyszeć huk bębnow wojennych, przerywany grzmiotem dział, trzęsących całą ziemią jak piaskiem.

## W PAŁACU I W CHATCE

POWIEŚĆ

Berthold'a Auerbach'a,

przełożona z niemieckiego

PRZEZ

JOANNĘ BELEJOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

\* \* \*

Od roku, jak tu jestem, dziś po raz pierwszy wdziałam powóz toczący się na drodze wijącej się wśród doliny. Siedzące w nim osoby ani się domyślały, z jakim zajęciem śledziłam ich wzrokiem. Kto też to był i gdzie jechał?

\* \* \*

Kto nigdy nie zaznał nieprzepartej potrzeby porozmawiania z osobami równymi sobie, nie ma pojęcia co to za straszne, co za palące pragnienie. Z otwartymi rękami powitałabym dziś każdego co by moim przemawiał językiem. O wierzącym mił brak pokarmu duchowego równie dręczy jak głód materialny. Szczęściem dla mnie, uniałam w pracy znaleźć ratunek.

Dawniej, kiedy Walpurga mieszkała w pałacu, znajdowałam prawdziwą przyjemność w jej rozmowie, bo wtedy rozmawiając z nią, opuszczałam, że tak powiem, chwilowo, stałe umysłu mego zamieszkanie. Tu zupełnie co innego, tu prócz niej nie mam nikogo. I nie jest to bynajmniej pycha ani duma. Ja miałabym być dumna, ja!.. o nie, to tylko jakieś niewystawione poczucie że nie należymy do jednej sfery. W pałacu, rozmowa jej smakowała mi, jak czasami kawałek razowego chleba w pośród najwyszukańszych przysmaków i łakoci, ale jak tu poprzestać zawsze na samym razowym chlebie?

Im staranniejsze odebrał kto wychowanie i ukształcenie, tem umysł jego więcej ma w sobie zasobów; naiwność prędko bardzo traci chwilowy powab, i nuży zamiast zajmować. Co do mnie najwięcej mnie zajmuje mądrość i zdrowy rozum, jak n. p. matki Beaty i doktora Gunthera. Ach tak, jego to nade wszystko pragnęłabym zobaczyć!

\* \* \*

Pędzę tu ciche i spokojne życie, praca wystarcza mi na utrzymanie.

Jakże mogłabym być szczęśliwą, gdyby nie pamiętać przeszłości! Ale rozpoczynać nowe życie z niezatartymi wspomnieniami przeszłości... o! to bardzo, bardzo ciężko i smutno! Lecz bez wspomnień, byłoby to nowe życie?

\* \* \*

Jakaż to radość i wesołość w całym domu! co chwila Walpurga powtarza: tego a tego dnia zasadziliśmy to lub owo, zasiadaliśmy takie zboże; włożyłam je w rączkę małej Burgi, a ona upuściła je na ziemię.

Znowuż krótsze dnie nastają, — Jan śmieje się nie raz z dziecinnych pomysłów swej żony. Widzę iż nie raz myśli sobie: kobiety z niczego robią wielkie rzeczy! jednak w gruncie duszy i on cieszy się równie jak żona, tylko duma mężka nakazuje mu mniej o tem mówić.

\* \* \*

Męczy mnie bardzo to kilkunasto-razowe powtarzanie jednej roboty, ale właśnie na tem powtarzaniu jednej rzeczy zasadza się prawdziwa praca. Powinniśmy naśladować naturę, która przecież nieustannie się powtarza.

Powprowadzałam zmiany które mi się dość udały. Wszedłszy do obory, zauważyłam krowę która rycząc zwróciła się do swego cielęcia, — było to poruszenie pełne wdzięku, odtworzyłam je wiernie.

Dzięki ci przedwieczna Istoto! za obdarzenie mnie tym talentem, który stał się dziś jedyną moją ulgą i pociechą! Ileż to niezrównanych piękności napotykałyśmy w naszym codziennym życiu.

\* \* \*

Miłość i praca! oto dusza i ciało ludzkości. Szczęśliwy kto oboje połączyć zdoła!..

Ja postradałam miłość — pozostała mi tylko praca.

\* \* \*

Szczęśliwe białe żrebie! patrzysz na mnie, biegasz sobie wolne i swobodne, a jednak trzymam cię w ręku, i pośle cię na świat zewnętrzny, aby mieszkający jego uwielbiali twą pełną życia postawę.

Odrysowałam wszelkie postawy żrebiecia, — jak biega po łące, pasie się, słucha, strzyże uszami, rozdyma nozdrza, podnosi się lub kładzie na łące, i przybiega gdy go wołam. Jak pełne wdzięku wszystkie te jego ruchy!

\* \* \*

Otóż wyrzeźbiłam żrebiec z drzewa! wszyscy moi w zachwyceniu, i mnie samej się zdaje że dobrze mi się udało.

Wuj Piotr zaniósł mój utwór kupcowi. Żał mi było rozstać się z ulubioną pracą, ależ trzeba aby mi zapewniła sposób utrzymania, — to też nie zawiodł mnie mój zaczarowany konik, zapłacono mi za niego dobrze i zamówiono wiele roboty.

\* \* \*

Czasami oglądam się, w przekonaniu że Wielka mistrzyni, pobożna Konstancja Schnabelsdorf, Bronnen i inni stoją tuż za mną. Coby też powiedzieli, gdyby zobaczyli mnie taką jak teraz jestem?

Wtedy dopiero będę wolną, gdy zdołam poskromić swoją wyobraźnię; nie ma strasniejszego nad nią despoty.

\* \* \*

Prawdziwa rozkosz patrzeć teraz na córkę wuja Piotra. Pocziwa Gundel promienieje szczęściem, kocha i jest kochaną.

Syn krawca Schneck, ten sam co służył w kirassjerach, jest teraz parobkiem u Jana; nie jest piękny, ale dobry, uczciwy i bardzo pracowity, — otóż zakochał się w Gundeli. Gdy biedna dziewczyna, której zadaniem praca, na którą nikt nie zwraca uwagi, staje się przedmiotem miłości jakiegoś mężczyzny, wtedy nagle zostaje jakby inną istotą, osobistość jej zaczyna zajmować innych, wszystko w niej nabiera niewypowiedzianego wdzięku, i w jednej chwili przestaje być smutną ofiarą opuszczenia i zapomnienia.

Miłość jest koroną życia, ona wieńczy promiennym diademem czoło najpospolitszej kobiety.

To też teraz, cokolwiek hać Gundel robi, czy idzie po wodę, czy daje jeść bydłu, czy nosi drzewo, zdaje się iż w koło niej roztacza się promienna aureola.

Widzi ona dobrze, że choć nie nie mówię, jednak z wielkiem współczuciem poglądam na nią, i dla tego często przychodzi do mnie, pytając, czyby nie mogła być mi w czem użyteczną. W tej chwili żałuję że już nie jestem bogatą, mogłabym zapewnić szczęście tych dwojga kochających się serc.

\* \* \*

Przynajmniej raz na tydzień muszę odczytywać staremu Joachimowi, reskrypt zapewniający mu pensję dożywotnią; — żałuję on zawsze, że nie może widzieć urzędowych, wyciśniętych na nim pieczęci.

Rozповіда mi często o zmarłym królu, pod którym służył w wojsku: O! to dopiero był wielki monarcha, powtarza, często przyjeżdżał tu na polowanie; — widać terazniejszy król nie jest myśliwym, kiedy ani razu do nas nie zajrzał. I zapytuje mnie czy widziałam go kiedy, i choć zawsze odpowiadam przecząco, on zawsze pytanie swoje powtarza. Czy ma w tem cel jakiś? myślę że nie, że to tylko mąjaczanie starości.

Szkoda że nie masz męża, rzekł dziś do mnie, — w podwójnym zaprzęgu, i ślepy koń idzie równie do brze jak każdy inny.

\* \* \*

Ludzkość względem bliźnich staje się niekiedy trudnym obowiązkiem, który spełniając uczuwamy nie raz, iż jest prawdziwym poświęceniem a nie przyjemnością.

Od chwili mego tu przybycia, okazywałam zawsze wiele dobrotliwej uprzejmości staremu Joachimowi; pozwoiliłam mu przychodzić do siebie i starałam się rozerwać i zabawić. Otóż teraz pozbyć go się nie mogę; — chce zawsze przesiadywać u mnie, i pozabawić mnie mojego jedynego dobra, mój ostatniej pociechy — samotności. Zaledwie zdołałam mu wytłumaczyć, że w niektórych tylko godzinach może przychodzić do mnie; — i tak wielkie to poświęcenie z mój strony, bo już nie ciągle jestem sama, bo są chwile w których znów czuję jak mi ciężą moje kajdany. Z nadejściem południa starzec przychodzi i siada przy mnie; — rozmowa nasza nie odznacza się zbytniem ożywieniem lub dowcipem, bo pojęcia staruszka w szczupłym bardzo zamykają się zakresie, i nie go nie obchodzi co tylko przekracza ich granice. To najgorzej że zawsze wypytuje mnie o mego



ojca, i zawsze zapomina iż już powiedziałam mu żem go wcale nie znała; — wielką mi to sprawa przykrość. Rzeczywiście, pokąd żył mój ojciec, ja nie znałam go zupełnie, chciał odstąpić mi najgłębsze tajnie swych myśli — nie umiałam go pojąć.

Teraz stało na tem, że Joachim nie będzie przychodził pokąd go nie zawołam; — ale cóż, nuży mnie to więcej jeszcze niż gdy przychodził o naznaczonej godzinie. Nie raz zmuszona jestem powiedzieć sobie: czas zawołać staruszkę, gdyby teraz przyszedł nie bardzoby mi zawadzał, i tak Joachim znowu częściej przesiaduje u mnie. Jest to próba mojej cierpliwości i wytrwałości, której powinnam się poddać; zresztą Joachim jest coraz potulniejszy, jak tylko mu powiem że nie mam ochoty rozmawiać, milczy i zadowolony jest z tego że siedzi w tym samym pokoju.

\* \* \*

Nieraz obecnie zastanawiam się, iż dawniej mówiłam tak wiele, lubiłam i potrzebowałam mówić — dziś nauczyłam się milczeć i w skupieniu ducha zastanawiać nad sobą.

Niekiedy także przychodzi mi na myśl, że może to źle tak zagrzebywać się żywem, kiedy już mam żyć konieczne.

\* \* \*

Żyjemy tu jak rośliny — pogoda lub słota, oto rzeczy najważniejsze, wywołujące radość lub smutek, a nic nie zajmuje nas tak żywo jak wpływ słońca lub deszczu na żniwa. Pocciwy Jan uskarża się często, że tutaj nie tak mu łatwo poznać nadchodzące zmiany powietrza, jak wówczas gdy mieszkał nad brzegami jeziora. Wuj Piotr przeciwnie doskonałym jest prorokiem, co nawet nadaje mu pewne znaczenie; — ja zostałam jego uczennicą i bardzo rad z moich postępów. Obchodzi on się ze mną poufale i po przyjacielsku, często nawet żartuje, ale zawsze okazuje mi po swojemu pewien rodzaj uszanowania.

W przeszłym tygodniu były imieniny wuja Piotra. Kiedy wieszając podałam mu rękę, zaczerwienił się mocno i rzekł: Jak pójde do nieba, przygotuje ci tam dobre miejsce, a moja stara żona nie będzie się gniewać, jeśli na wieczność całą umieszczę cię obok niej.

Jest on najszcześliwszy gdy może zrobić coś dla mnie; pali w moim piecu, rąbie do niego drzewo, i łupie je tak starannie jakby chciał powiedzieć że każda szczapa mająca zaszczyt płonąć w moim piecu, powinna być bardzo równa i zgrabna.

\* \* \*

Nowy spis ludności nie małego nabawił mnie kłopotu. Po obiedzie Jan przyniósł druk który należało wypełnić, i rzekł do Walpurgi:

— Napisz, albo poproś jej niech sama napisze swoje imię, nazwisko, wiek i miejsce urodzenia.

Co tu począć! Aż nagle Walpurdze przyszła myśl szczęśliwa: obejdzie się bez tego, rząd nie potrzebuje koniecznie wiedzieć o wszystkim!

Na moje szczęście był także drugi arkusz obejmujący rubryki w których należało wyszczególnić: Ile było krów? wiele rocznie dawały mleka? wiele sprzedawano masła? wiele trzymano drobiu i t. p. Jan rozgniewał się na rząd który widąc umyślił sobie nowe nałożyć podatki, i dzięki temu, j. k. mość został oszukany co do jednej mieszkanki swego królestwa.

Lud uważa tu urząd i jego urzędników za swych przyrodzonych nieprzyjaciół, i bynajmniej nie ma sobie za grzech oszukiwać ich o ile się da.

\* \* \*

Dziś pierwszy raz byłam obecną przy ścinaniu drzewa; ciosy jakie mu zadają i ostatnie jego drgnięcie ma w sobie coś przerażającego.

Jan kazał wyciąć ścieżkę w lesie zupełnie w prost moich okien, i bardzo się ucieszył gdy mu powiedziała że teraz będę mieć daleko piękniejszy, rozleglejszy widok. Co rano zanim pójdzie w pole lub do lasu, stara się powiedzieć mi dzień dobry, a Wal-

purga zapewnia mnie, że mu to na cały dzień przynosi szczęście we wszystkim co tylko zamierza.

\* \* \*

Jan jeździł do miasta; za powrotem z wielkiem zadowoleniem rozwinął wielki pakiet i wyjmował z kolei piękne przywiezione dla nas podarunki. Najpierw ukazały się portrety króla i królowej; chciał koniecznie aby je zawiesić w moim pokoju, i bardzo się gniewał gdy Walpurga powiedziała że je zatrzyma dla siebie. Zagodziłam sprawę mówiąc, aby je zawiesić w dużej sali, która zarówno do nas wszystkich należy.

Ileż teraz wejść do tej sali, przykrego bardzo doświadczam wrażenia, — portrety wyraźnie patrzą się na mnie. Walpurga to postrzegła, i powoli, nieznacznie, przeniosła portrety do swego sypialnego pokoju; — odtąd oddycham swobodniej.

Jan dotąd nic a nic nie dostrzegł, że portrety zmieniły miejsce pobytu.

\* \* \*

23 Kwietnia. Zobaczyłam pierwszą jaskółkę. Wuj Piotr powiedział mi: jaskółki i gwiazdy w nocy przybywają i w nocy znikają; — to daje do myślenia.

\* \* \*

1 maja. Dzień był zimny i dżdżysty, nawet grad się pojawił aż nareszcie słońce ozłociło krajobraz. Wieczorem, pierwszy raz w tym roku usłyszałam kukulkę, latała z drzewa na drzewo, z wzgórza na wzgórze, latała i wyśpiewywała wesoło.

\* \* \*

Lubię bardzo wchodzić na wierzchołek góry ocienionej drzewami, skąd śliczny roztacza się widok. Wuj Piotr, taki pocciwy, że mi tamu rzucił ławeczkę; — ale, niestety! aby tego dokazać musiał wyciąć zarośla i zepsuł mi przez to moją samotnię.

Mimo to lubię tu siadywać; trudno tak zupełnie odgadnąć chęci innych, zawsze wdzięczam mu bardzo za jego dobre chęci.

\* \* \*

Pierwsza niedziela w maju. W każdą niedzielę, gdy nie mogę pracować, ogarnia mnie nieprzewyciężona chęć, aby wsiąść do odkrytego powozu i wygodnie oparta przejeżdżać się po alejach pięknego parku, i nie chodzić, nie ruszać się, tylko z powozu przyglądać się światu — lub, lepiej jeszcze, dosiąść bystrego rumaka, kierować nim i poskramiać i tak przebiegać pola i lasy. Niestety! nie mogę zapomnieć jak to miło!..

\* \* \*

Całe moje okno jest teraz zastawione doniczkami kwiatów, doprawdy daleko przyjemniej patrzeć na ich wzrost, rozwój i kwitnienie, niż już gotowe odbierać z rąk ogrodnika... Owe bukiety które on przysyłał mi kiedyś...

\* \* \*

Wynalazłam sobie nową przyjemność, — kupiłam cukru i częstuję nim białe żrebę. Dziś przyszła mi myśl której wstydzę się, doprawdy; gdyby tak ktoś widział mnie i to śliczne żrebę jedzące z mój dłoni, byłby to piękny obrazek.

Ach! ileż to jest jeszcze we mnie małostek, próżności a nawet czasami i jakiejś jakby chęci podobania się, — to prawie nie do uwierzenia.

\* \* \*

Przekonywam się na samą siebie, że samotność odurza nas i wyradza odrętwienie umysłu.

Widzę że i Jan doświadczając czegoś podobnego w dnie świąteczne, jeśli zbyt brzydka pora zatrzymuje go w domu. Wtedy często całe godziny wyglądając oknem, nie myśląc o niczem.

I dziwna rzecz, kiedy tak próżnując duchem, patrzymy na świat oczyma ciała, w chwili gdy nareszcie zbudziwszy się z tego odrętwienia, uczuwamy jakiegoś wzmacniającego i orzeźwiającego wrażenie, jak gdybyśmy się prawdziwym snem pokrzepili.

\* \* \*

Od chwili jak powzięłam stanowcze postanowienie pozostać tu do końca życia, nieby mnie już nie obchodziło choćby nawet odkryto moje schronienie, i choćby mnie aż tu ścigała szyderska pogarda świata, — jestem zupełnie spokojna i zadowolniona czując się u siebie.

Wuj Piotr dostrzegł to wewnętrzne moje usposobienie, i rzekł mi dziś: Widać teraz w duszy twój panuje spokój i swoboda, bo jakoś inaczej wyglądasz niż zawsze.

Ma słusność pocciwy Piotr, jestem swobodna i zadowolniona, zdaje mi się że zrosłam się z miejscowością, jak ów szczep wiśniowy który Jan zaszczepił pod moim oknem.

\* \* \*

Często bierze mnie chęć opowiedzieć Joachimowi i wszystkim tu moim, historję króla Léra, tak chciałabym podzielić się z nimi wszystkim co wiem, ale wstrzymuje mnie obawa że może sami nie zrozumieją — a wielką by mi to sprawiło przykrość.

Jakże to wielka zachodzi różnica między religją a poezją! religja dostępna dla wszystkich, poezja tylko dla małego kółka wybranych.

Gdyby szanowna baronowa Konstancja przeczytała te słowa moje, zawołałaby niezawodnie: No proszę, owa pyszna i małowierna Irma została nareszcie religijną i nabożną! Tak, mam głęboką wiarę, i może stokroć jestem pobożniejsza od niej, tylko nie chełpię się z tego, nie mam tu książek do nabożeństwa oprawnych w złoto i aksamity, i umiem wielbić Boga w samotności, nie pragnąc aby tysiące oczu patrzyło na mnie.

\* \* \*

Często, gdy stojąc na szczycie wzgórza obejmuję okiem nieskończoność, zapytuję sama siebie: jestem ja tą samą Irmą, którą od kolebki otaczał przepych, bogactwa i wszystkie rozkosze świata? Niegdyś byłam punktem środkowym w około którego skupiało się wszystko — dziś jestem marnym atomem...

\* \* \*

„Dość już dawno przebywałeś w tej pustyni, która nareszcie staje się czczą i nudną, — możesz być dumną że potrafiłaś wytrwać tak długo — wracaj do świata którego jeszcze możesz być ozdoba.“

Oto słowa które często powtarza mi głos jakiś, niby podobny do mego, a jednak zupełnie mi obcy. Co się to znaczy? Pokusa kryjąca się we mnie i przedstawiająca się pod postacią rozumu.

\* \* \*

Stary Joachim chory. Doktor do niego wezwany, człowiek bardzo wesoły, zapewnia że Joachim byłby jeszcze żył długie lata, gdyby był miał ciągłe powody do procesów, ponieważ wywoływane przez nie gniew i wzruszenie, dodawały mu życia, ruchu i nastroczały rozrywkę, — tak więc miał jakiś cel w życiu, a obecnie, dzięki niczem nie zamąconemu spokojowi, musi umierać z nudów.

— Uśmiechasz się, rzekł spojrzawszy na mnie, wierzaj mi mówię szczerą prawdę. Jeśli dziecko w kolebce nigdy nie płacze, jeśli pies nigdy nie szczeka, to dowód że brak w nich życia i ruchu, i niedługo też zagoszczą na tej ziemi.

Może i ma słusność. Obecność doktora nabawia mnie kłopotu, spogląda na mnie dziwnie badawczym wzrokiem.

— Mój Boże! trawki i zioła wyłamują się z ziemi a mnie lada dzień złożą do grobu i nigdy ich już nie zobaczę, powiedział dziś żałośnie Joachim.

\* \* \*

Starzec umarł; dzisiejszej nocy zgasł spokojnie we śnie, nikogo nie było przy nim. Zamarł jak drzewo w lesie, z braku soków i sił żywotnych.



Mała Burga sypia teraz ze mną, nie chcą pozwolić abym całe noce była samą.

\* \* \*

Zostałam spadkobierczynią, — pocziwy stary Joachim przekazał mi swój skarb najdroższy.

Trudno wyrazić jak jestem niespokojna i rozdrażniona. Tuż nademną leżą na tapczanie martwe zwłoki, przy nich płonie świeca woskowa, i palić się tak będzie do samego pogrzebu.

Pocziwy starowina do ostatniej chwili myślał i pamiętał o mnie. Wczoraj przywołał mnie, rzekł:

„Ermangardo, byłem dla ciebie obcym, a jednak otaczałaś mnie anielską dobrocią swoją — chciałam ci coś przekazać, długo nad tem myślałam, i widzę że mogę dać ci skarb nieoceniony, co miałem najdroższego na ziemi. W grobie już mi to nie potrzebne, a tobie bardzo może się przydać, bo podobne talizmany przynoszą szczęście. Oto masz kulę co utkwiła mi pod trzecim zębem, chowaj ją troskliwie, bo kto posiada kulę która raniła człowieka, nigdy gwałtowną ani nienaturalną nie skończy śmiercią. Wierzaj mi, to prawda nieomylna. A teraz jeszcze jedno: Mówiłaś mi nie raz że ojciec twój nie żyje, powiedz że mi jak się nazywał, a wszedłszy do nieba zaraz go tam wyszukam, i powiem mu, że jesteś może trochę... dziwna, ale zaena i uczciwa dziewczyna. Wiem że mu to wielką zrobi przyjemność.

Nie podobna mi było uczynić zadość życzeniu pocziwego starca, podziękowałam mu więc tylko że mi oddawał najdroższą swoją pamiątkę. I dziwna rzecz, gdy kulę tę trzymam w ręku, jakiś dreszcz przebiega moją duszę.

Trzeba się ubrać i odprowadzić ciało starca na miejsce wiecznego spoczynku.

\* \* \*

Wracam ze cmentarza, na którym pogrzebano zwłoki Joachima, i ja tam kiedyś spocznę.

\* \* \*

W całym domu wrzawa i zajęcie, jak gdyby nadspodziewanie jakiś panujący zajechał w odwiedziny. Ów Józef Fosses, o którym Walpurga tyle mi mówiła, przybył do nas wraz z synkiem, — niepodobna opisać radości i zadowolnionej dumy moich gospodarzy.

Józef Fosses przypatrywał mi się przenikliwym wzrokiem, i nareszcie zapytał Jana:

— Czy ta piękna i taka jakaś niezwykajna dziewczyna, jest krewną twój żony?

— Tak, mojej żony, odrzekł niewyraźnie Jan, i widziałam jak przykro mu było kłamać przed swoim przyjacielem, bogatym dziedzicem.

Stosunek tych dwóch ludzi, odznacza się jakąś szlachetną, godnością; nie wynurzają sobie oświadczeń przyjaźni, ale jej dowodzą czynami.

Wszyscy tu nie posiadają się z radości, bo jego wysokość Józef Fosses raczył oznajmić, że wszystko jest w porządku i gospodarstwo dobrze prowadzone; dla nich to zupełnie toż samo co pochwała monarchy dla dworaków.

\* \* \*

Jeszcze do tej chwili ręka drży mi z przestachu. Dziś siedząc na mojej ławeczce wśród klonów, postrzegłam mężczyznę przechadzającego się w lesie; nachylał się on co chwila i przypatrywał kamykom lub zbierał zioła. W tem zbliżył się nagle, i kogóż ujrzałam przed sobą? — Doktora Gunther'a, którego od dawna tak pragnęłam zobaczyć. Stanąwszy o parę kroków odemnie, zapytał swoim czystym i mocnym głosem:

— Powiedz mi, moje dziecię, którąś dojdzie do wsi?

Głos zamarł mi w gardle, i nie mogłam słowa przemówić, tylko palcem wskazałam drogę i wstałam cała drżąca.

— Czy jesteś niema, biedna dziewczyno?

Ma słusność, jestem niema bo nie śmiem mówić. Nie odrzekłszy ani słówka, uciekłam zdala od nie-

go, i płakałam długo, długo, — już od bardzo dawna nie płakałam podobnie. Potem chciałam zbliżyć się do niego, ale znikł mi gdzieś w oddali, a ja zaledwie parę kroków postąpić mogłam, nogi uginały się podemną. Teraz już jestem spokojna, — wszystko się skończyło — skończyło na zawsze.

\* \* \*

Kilka dni ostatnich przeszły mi bardzo smutnie, nie mi jakoś nie szło, ręce nie umiały pracować. To zetknięcie ze światem zewnętrznym, oieśmieliło mnie i przeraziło.

\* \* \*

Zaczynam przychodzić do siebie, — rozpoczęłam nową pracę. Jak na przekorę wuj Piotr zachorował — z początku rozgniewało mnie to prawie — po co mu chorować kiedy mi tak potrzebny; — ale wnet zawstydziłam się tej samolubnej, nieludzkiej myśli, i dogłądałam go tak troskliwie, iż mam nadzieję że wkrótce wróci do zdrowia.

\* \* \*

Wczoraj pierwszy raz po chorobie, wuj Piotr powrócił do zwykłych swoich około mnie zajęć; kładąc drzewo do pieca, rzekł:

Ermangardo, gdybym wiedział że jak włożę rękę w ogień, sprowadzę ci tym sposobem jakieś szczęście lub choćby tylko przyjemność, pozwoliłbym jej się spalić na węgiel.

Widać jest jeszcze we mnie coś dobrego, kiedy mogłam zbudzić tak pocziwe przywiązanie w sercu tego zacnego człowieka.

\* \* \*

Przez godzinę połam się czarem wszechwiedzy.

Wczoraj od jedenastej do południa była mała ulewa, następnie niebo się wypogodziło, a ja widziałam oczami duszy, jak tysiące istot spędzało tę godzinę. I tak, widziałam rolnika na polu pod lasem, króla w jego gabinecie, robotnicę w jej poddaszu, górnikę w kopalniach, ptaszka na gałęzi, jaszczurkę na skale; widziałam dziecię na szkolnej ławce, starca wydającego ostatnie westchnienie, widziałam mizdrzącą się zalotnicę, wieśniaczkę pracującą na swoim zagonie. Widziałam to wszystko, przez godzinę żyłam w nieskończoności.

Teraz znów czuję krepujące mnie więzy, czuję że jestem tylko biedną samotną istotą, — i pochyłona nad warsztatem rzeźbię moje drzewo.

\* \* \*

Słyszałem dziś, jak Franciszek mówił do swojej ukochanej Gundeli:

— Raz, na wielkim przeglądzie, pewna pani nadzwyczaj podobna do Ermangardy, przybrana w mundur naszego pułku, przejechała przed nami konno w towarzystwie królowej.

Gdyby żołnierz ten poznał mnie i powiedział kto jestem?

W ludzkim sercu mieści się tysiące niezbadanych tajników! Mimo mego smutku i boleści, doznaję jakby uczucia niewysłowionego tryumfu, że postać moja w tylu wyrzyła się pamięciach.

Jak rozwiązać tę zagadkę?

\* \* \*

Nie mogę się jeszcze oswoić z tem iż zawsze wychodzę sama; ciągle mi się zdaje, że wygalonowany lokaj postępuje za mną.

Ach! czemuż skazują nas na życie lalek lub marjonetek? Czemuż upatrują w tem coś niestosownego, abyśmy same wychodziły na miasto?

Cały dzień samotnie spędziłam w lesie. Położyłam się na trawniku; po nad moją głową szemrały drzewa, tuż obok brzęczała kaskada. Gdybym tak była w tej cichej ustroni zasnęła snem wiecznym jak zraniona łania? Wszak jestem zraniona, uciekłam,

krwawym śladem naznaczyłam drogę... O nie! jestem już uleczona, żyję podwójnie, bo raz już w innym żyłam świecie, a dziś nauczyłam się żyć drugim życiem.

(d. c. n.)

## O U B I O R A C H.

### Korrespondencja z Paryża.

Mieliśmy sposobność widzieć piękne towary, zakupione w Paryżu przez pana Penkalę. Jak zwykle tak i w tym roku, dobór wyrobów tak jedwabnych jak i wełnianych odznacza się wzorowym gustem. Podamy tu szczegółowy spis tych towarów, dla dogodności czytelników naszych mieszkających na wsi, które mogą zażądać ich, za pośrednictwem Tygodnika lub wprost z magazynu p. Penkali.

Zaczynamy op wyrobów wełnianych, jako najbardziej pożądanym na tę porę.

Wyrób gęsty nabity, zwany *Drap Latin*, trzymający środek pomiędzy sukienką a kaszmiem, w kolorach ciemnych: waniliowym, rozmarynowym, granatowym, stalowym, odznacza się między innymi na kostiumy. Spódniczka do tego bywa taka sama. Łokieć wypada od rubla do rubla i kop. 20.

Bardzo też modny w tym roku kaszmir gładki po tejże samej cenie, w podobnych kolorach. Kaszmir wyborowy, zwłaszcza na kostiumy z podpinaną w festony spódniczką, gdyż jest miękki i tworzy kształtne draperje.

Lżejszy kaszmir, równie jak lżejszy *Drap satin* wypada na kopiejek 75.

Do wyjścia na ulicę, zalecamy szczególniej kostiumy z tartanu szkockiego, w rozmaitych kolorach. Kostium taki składa się ze spódnicy do ziemi, z szerokim na pół łokcia wolantem ukośnym, z takiegoż płaszczyka szkockiego, długiego do kolan, z peleryną pojedynczą a niekiedy potrójną. Po bokach płaszczyka pod peleryną, zostawione otwory na ręce. Koszulka może być także sama, lub z gładkiego kaszmiru w odpowiednim kolorze. W próbkach pana Penkali, mamy następująco tartany:

W kratę czarną szafirową i zieloną, przez to przechodzi jeszcze cienka krata pomarańczowa.

Szafirowy z czarnem w szachownicę, — takiż pasowy z czarnem.

W wielką kratę zieloną, pasową i szafirową na tle czarnem.

Fijołkowy z czarnym, przez wierzch przechodzi cienka krata pasowa i seledynowa.

Czarny w kratę pasową, zieloną i pomarańczową.

Czarny z fijołkowym, w cienką seledynową kratę.

Czarny w kratę białą i pasową.

Popielaty z pomarańczowem.

Czarny w drobną białą kratę, stosowny do żałoby.

Szafirowy w drobną białą kratę, na dzieciinne sukienki.

Płaszczyki tartanowe mogą służyć do każdej sukni. Widzieliśmy także pod takie płaszczyki, spódniczki ciemne w rozmaitych kolorach, obłożone u dołu szeroką na pół łokcia plisą tartanową.

Z wyrobów wełnianych mieszanych z jedwabiem, uważaliśmy w zbiorze pana Penkali wyrób nowy zwany *Taffetas Camelé'on*, mieniony w dwóch kolorach, n. p. szafirowy z karmazynowym, morderowy z zielonkowatym, czarny z orzechowym, bismark, szafirowy z kolorem złotym, zielony z orzechowym brązowy ze złotym, szafirowy z zielonym, popielaty z czarnym. Postaw jedwabny bywa zwykle w żywym kolorze — wątek zaś wełniany w ciemniejszym. *Taffetas Camelé'on* właściwy zarówno na kostiumy jak i na suknie powłószyste. Wlepszym gatunku wypada na Rubla — mieszany z bawełną znacznie tańszy.

Uważaliśmy także popelinę wełnianą w kolorach czarnym lub ciemnym, w podłużne paseczki atlasowe, n. p. czarną w paski fijołkowe, karmazynowe, złote morderowe lub ciemno niebieskie, morderowe i orzechową, w paski atlasowe tegoż koloru. Popelina ta używana zwykle na kostiumy. Na wierzch daje się tunika czyli angażant, w odpowiednim gładkim kolorze. Cena tej popeliny od rubla — do rubla i kop. 20.

Lżejsza popelina w paski bez jedwabiu, czarna z pasowem, szafirowem, zielonem i t. p. właściwa dla dzieci wypada na kop. 60.



Na zimowe płaszczyki i paletoty, zwrócił uwagę naszą, ciepły i miękki wyrób zwany *velonte vigogne*, z jednej strony podobny do sukna, z drugiej z długiego wypuszczonego włosem. Wyrobu tego dostać można w rozmaitych kolorach, zastosowanych, do koloru kaszmirów i *Drap Latin*.

Na spodniczki, do gładkich podpinanych kostiumów, uważaliśmy różne wyroby w węższe lub szersze pasy. W jednych paski przerabiane atłasem w żywych kolorach, w innych znów przechodzą aksamitne paseczki na tle półjedwabnym. Do częstego użycia, przyjęte powszechnie spodniczki tartanowe w pasy. Najmodniejszy na ten cel tartan, w pasy pomarańczowe z popielatym.

Pan Penkala zakupił także wielki zapas gotowych płaszczyków i paletotów, odznaczających się gustem i rozmaitością, oraz piękny dobór popeliny czarnej, najstosowniejszej na futrzane salony.

Zalecamy także gustowne szale tartanowe na rozmaite ceny, bardzo używane w tym roku.

S. z Ż. D.

*Opis kroju spodniczki z białej flaneli, bluzki i pelerynki do sukni wizytowej i pelerynki do sukni wyciętej z wykładanym ranwersem.*

- N. 1. Połowa przodu spodniczki.
- N. 2. Boczny bryt.
- N. 3. Tylony bryt.
- N. 4. Połowa paska.
- N. 5. Całość spodniczki pod krinolinę.

*Spodniczka z białej flaneli.*

Z białej lub pasowej flanelki kraje się podług N. 1 przedni bryt w całości, podług N. 2 i 3 po dwie części, przypuszczając do każdego bryta u dołu 3 centymetry na obręb. Po zeszytciu spodniczki podług liter jednogodnych, obrębia się rozporek od liter E, w tylnych brytach, marszczy u góry spodniczkę i wszywa w pasek przykrajany z flanelki i perkalu na podszejkę, opatrzone guzikiem i pentelką lub tasimieczkami do wiązania. Po zrobieniu obrębką, u dołu ozdabia się spodniczka białą pasowami ząbkami, pasowa zaś spodniczka białymi lub czarnymi ząbkami przystębnowanymi odpowiednim jedwabiem. Ząbki mogą być z flanelki albo tybetu.

*Bluzka do sukni z popielatego mozambiku.*

- N. 6. Przednia część bluzki.
- N. 7. Połowa pleców.
- N. 8. Połowa paska.
- N. 9. Rękaw.

Z obranego materiału kraje się podług N. 6 i 9 po dwie części z dodaniem 2 centymetrów na obręb do każdej przedniej części bluzki, uważając także na wykroję dolnej połowy rękawa. Plecy krają się w całości, jak również pasek z dubeltowego materiału. Po zeszytciu bluzki podług liter jednakowych, marszczą się u dołu plecy od gwiazdki, przednie części od O, do krzyżyka i wszywa w dubeltowy pasek. Każdy rękaw zeszyty od P do Q i od R do S podszywa się pod spodem około ręki skośną pliską z materiału sukni i wszywa w pachę z wypustką.

Suknię do tej bluzki przedstawiamy z dwoma odmiennymi garnirunkami. Jedna przybrana jest szerszym i dwoma małymi wolancikami fałdowanymi; druga: składa się z dwóch spodnic, garnirowanych szeroką i wąską falbanką, na bokach podpiętą rozetami. Pliski z niebieskiej materij przytwierdza ją falbanki i obejmują szarfy przy pelerynce.

*Pelerynka do sukni z popielatego mozambiku.*

- N. 10. Przednia część pelerynki.
- N. 11. Połowa pleców.
- N. 12 i 13. Całość sukni z bluzką i pelerynką.

Pelerynki takie bywają z materiału sukni, jak również z białego muslinu, naszyte wstawką koronkową i haftowaną, z pod których wycina się muslin i podwleka kolorową wstążeczką. Garnirunek około pelerynki składa się z falbanki muslinowej lub koronki odpowiedniej wstawce, i z rozet uformowanych ze wstążeczki, które zdobią pelerynkę w pasie na krzyż założoną.

Podług N. 10 przykroić dwie części, podług N. 11 jedną część w całości, zeszyć na ramionach i przybrać jak wskazuje rycina rozetami, falbanką i skośną pliską, jeżeli pelerynka zrobiona jest z materiału sukni.

*Pelerynka z wykładanym ranwersem.*

- N. 14. Przednia część pelerynki.
- N. 15. Połowa pleców.
- N. 16. Całość pelerynki z wykładanym ranwersem.

Po wykrojeniu pelerynki czy to z muslinu białego lub tiulu czarnego, podług N. 14 po dwie części i N. 15 plecy w całości, zeszyć ją na ramionach, naszyć wstawkę koronkową 4 cent: szeroką jak linja i napis na kroju wskazują, wyciąć z pod spodu materiału i ogarniować w około 8 centy: szeroką falbanką uszytą w trzy drobne zakładki i szerszy obrąbek zakończony koroneczką. Falbanka ta przymarszczona do pelerynki, zwęża się stopniowo do stanu. Wykładany ranwers i wykroję szyi garnirują się zszywaną koroneczką przy gładkich brzegach, która się w środku marszczy. Do czarnej tiulowej pelerynki służyć może koronka do obszycia. Rękawy długie stosowne do pelerynki, wszywają się do krótkich rękawków sukni.

*Opis deseni do haftu, wyszywania sutaszem i ścięciem łańcuszkowym.*

N. 1. Deseń na poduszkę do kanapy lub na pokrycie taboreta dany w połowie. Na ten cel zwykłe się używa sukno, ryps albo aksamit i wyszywa deseń sutaszem lub ścięciem łańcuszkowym jedwabnym kordonkiem. Ten sam deseń służyć także może na środek serwety sukienniej.

N. 2 i 3. Szlaki do chustek od nosa batystowych z tiulowymi brzegami. Deseń wykonywa się aplikacją z muslinu na tiulu; kontury dubeltowe przy kwiatkach i liściach przy N. 2 haftują się atłasem lub dziergają. Miejsca punktowane oznaczają stembenek. Ząbki na brzegu dziergane.

N. 4. Szlak do chustki od nosa batystowej na haft atłaskowy, stembenek lub pęczki. Część środkowa w różach wypełnia się krataczką ażurową.

N. 5. Deseń na szmizetkę muslinową do stanika wyciętego w kwadrat.

N. 6 i 7. Deseń na karczki do koszul damskich. Haft atłaskowy; ząbki dziergane. N. 6 haftuje się atłasem, ścięciem meksykańskim przewlekany i haftem angielskim. Do deseni N. 7 użyć można w miejsce łuków haftowanych, wstawki koronkowej, która się do płótna lub batystu przydziergowywa.

N. 8. Szlak na spodniczkę białą nad gładkim obrębem. Deseń może być haftowany atłasem lub dziergany. Ten sam szlak użyty na sukienneczkę kolorową dla dziecka, wyszywa się sutaszem odpowiednim do tła sukni.

N. 9. Szlak na serwetę sukienną do wyszycia sutaszem albo ścięciem łańcuszkowym.

N. 10 i 11. Szlaczki do bielizny damskiej.

N. 12 i 16. Medaljony do przyozdobienia krawatek, czepek muslinowych, serwetek do przykrycia poduszek do szpilek i. t. d.

N. 17, 18, 20. Narożniki do chustek od nosa.

N. 19, 21, 31. Deseń do krawatek, kołnierzyków, mankietów i. t. d.

N. 32 do 34. Deseń do ozdoby dziurek przy gor-sach u koszul męzkich.

N. 35. Alfabet do znaczenia bieli zny.

MAGAZYN

## KORONEK I HAFTÓW

**Bogusława Herse i spółki**

przy ulicy Senatorskiej pod Nr. 460.

poleca Firanki muslinowe wrabiane od 22½ kop. łokieć muslinowe haftowane i z brzegiem tiulowym, gipiurkowe i tiulowe haftowane, w bardzo wielkim doborze i po cenach jak najprzystępniejszych lecz stałych. (9133)

— Podaję do wiadomości cierpiących osób, że leczenie wyłącznie *homeopatycznie*. Kto nie rozumie co jest homeopatja, tego objaśniam, że jest to sztuka leczenia wszystkich chorób w sposób łagodny, prędki, trwały, a przytem najmniej kosztowny.

W wieloletniej naukowej pracy, starałem się także o gruntowne poznanie homeopatji; osiągnąwszy ten cel teoretycznie, poświęciłem przeszło rok czasu homeopatycznemu wyłącznie leczeniu, w prywatnej jak i szpitalnej praktyce w m. Przasnyszu i jego okolicach.

Bóg pobłogosławił moją pracę; w najtrudniejszych i w najniebezpieczniejszych chorobach, wracając ludziom zdrowie w sposób nadzwyczajnie prędki, łagodny i trwały.

Że zdrowie wszystkich obchodzi, uważam za powinność podawać do gazet opisy wyleczeń z ciężkich, a nawet z bardzo rzadkich chorób. Z opisów tych, bezstronna i nieprzesadna publiczność, oceni prawdziwą wartość homeopatji i jej nieodstępne dodatnie zalety.

Kiedy przy pomocy Bożej, zastosowaniem tej prawdziwej i jedynej nauki leczenia, doszedłem do poznania prawdy, to z sumiennym przekonaniem i swobodą, rozpoczynam praktykę homeopatycznego leczenia w rodzinnym moim grodzie, zaręczając, że nikt się nie zawiedzie w jakiegokolwiek choćby najdawniejszej i za nieuleczoną uznaną chorobie, jeżeli tylko słuchać będzie udzielonej mu rady, jeżeli ściśle zastosuje się do zalecanych mu przepisów, i jeżeli do przywrócenia mu zdrowia ma koniecznie potrzebny zasób żywotności. Oświadczam także niniejszem, że na wszelkie zaczepki ze strony nieprzyjaciół prawdy, to jest homeopatji, odpowiadać będę dowodami, uzwieraniami z wyleczonych chorób, a będzie to sądzić, najpraktyczniejszy sposób wykazania, że homeopatja opiera się na niewzruszonej prawdzie, odkrytej w medycynie przez nieśmiertelnego Hahnemana.

Uzdrowiajmy chorych, ale się o nich nie wadźmy. Mieszkam tymczasowo pod N. 9 w Hotelu Litewskim przy ulicy Nowo-Senatorskiej; przyjmuje chorych od godziny 10 rano do 2 po południu.

Lekarz-Homeopata K. Gregorowicz.

W Redakcji *Tygodnika Mód* i we wszystkich księgarniach, są do nabycia następujące powieści:

*Macocha* oryginalnie napisana przez Paulinę Wilkońską. Cena kop: 60:

*Mrowin i Trock* przez Paulinę Wilkońską, Cena rs. 1.

*Pan de Camors* powieść Feuillet'a, tłumaczona przez Joannę Belejowską. Cena rs. 1.

*Pamiętnik młodej mężatki* przekład Joanny Belejowskiej. Cena rs. 1.

*Marja Teresa w Węgrzech* powieść historyczna, przełożona przez Sewerynę Prusakową. Cena kop 75.

*Sto bajek* przez Faustyna Świdorskiego. Cena kop. 20.

*Książka do nabożeństwa dla włościan*, przez Jana Kantego Gregorowicza. Cena kop. 37 i pół.

*Gawędy księdza proboszcza*, przez Jana Kantego Gregorowicza. Cena kop. 40.

*Obrazki historyczne* w czterech tomikach, przez Jana Kantego Gregorowicza. Cena kop. 80.

*Cztery książeczki obrazkowe*, przez J. K. Gregorowicza. Cena kop. 80.

Biorącym książek za rs. 5, odsyła się kosztem Redakcji.

**Listy i przesyłki pieniężne** na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz oznaczony N. 20 z deseniami do haftu oraz, kroje sukni z bluzką, pelerynki z wykładanym ranwersem, i spodniczki białej flanelkowej.